



Barwna opowieść  
o ostatnich latach życia van Gogha

# Stoneczniki

Sheramy  
Bundrick

Świat Książki

*Stoneczniki*

Sheramy  
Bundrick

# Stoneczniki

Z angielskiego przełożyła  
*Maciejka Mazan*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
SUNFLOWERS

Redaktor prowadzący  
Ewa Niepokólczycka

Redakcja  
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja techniczna  
Małgorzata Juźwik

Korekta  
Maciej Korbasiński  
Olimpia Sieradzka

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych  
czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2009 by Sheramy Bundrick  
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Hankiewiczza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2712-4  
Nr 90451246

*Mojej rodzinie i Vincentowi*

Człowiek, który się szczerze zakocha, tak naprawdę odkrywa nową sferę swego życia.

Vincent van Gogh

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

# Malarz

Arles, lipiec 1888

*Wolę malować ludzkie oczy niż katedry, bo w oczach jest to coś, czego katedry nie mają... ludzka dusza, czy to żebrzącego nędzarka, czy ulicznicy, jest dla mnie bardziej interesująca.*

List Vincenta do brata Thea, Antwerpia, grudzień 1885 r.

Słyszałam o nim, ale nigdy go nie widziałam, cudzoziemca o śmiesznym nazwisku, włóczącego się po wsi i malującego obrazy. Ludzie mówili, że spędza całe godziny na prażącym słońcu, paląc fajkę i mamrocząc pod nosem jak wariat. Wieczorami przesiadywał w kawiarniach, stłoczonych przy stacji kolejowej, a dziewczyny widywały go na Rue du Bout d'Arles, choć naszego *maison* nigdy nie odwiedził. Podobno był biedny. Pewnie nie było go stać.

W dniu, w którym poznałam malarza, natura wezwała mnie tak, jak zawsze wzywała i jego. Po obu stronach drogi wyjazdowej z miasta ciągnęły się pola i podupadające chaty; po półgodzinnym marszu zobaczyłam chłopów, wrzucających snopy zboża na strychy *cabanon*, odetchnęłam głęboko powietrzem pachnącym dojrzałym ziarnem, nie tanimi papierosami i równie tanimi perfumami. Przez chwilę mogłam udawać, że mieszkam w chatce wśród cyprysów, a nie w *maison*

*de tolérance* madame Virginie. Tego dnia życie dławiło mnie jak upał.

Inne dziewczyny drzemały za zamkniętymi drzwiami i okiennicami, a ja wymknęłam się wąską uliczką, biegnącą pod średniowiecznymi murami, a potem między wieżami średniowiecznej bramy, *Porte de la Cavalerie*. Tu, na obrzeżach Arles, znajdował się *Place Lamartine*, z miejskim parkiem otoczonym sklepami i hotelami, a zaraz za nim – droga, której szukałam. Minęło mnie z turkotem parę wozów, wiozących resztki towarów z targu. Przed *Café du Prado* paru późniejszych przekupniów popijało wino, wachlując się kapeluszami. Zeszłam z drogi jednemu z wozów i właśnie przecinałam ogród, kiedy zatrzymał mnie donośny głos:

– Co ona tu robi?

Dwie damy w sukniach z wysokimi kołnierzami wyglądały jak wrony, a gdały jak kwoki.

– Luc, chodź do *maman* – zawołała jedna do chłopczyka. – Gdzie *gendarmes*? Nie powinni chronić przyzwoitych ludzi przed takimi mętami?

Ktoś odważniejszy pewnie by się roześmiał i poszedł dalej, ale ja zatrzymałam się jak idiotka na środku ścieżki, patrząc to na zacie damy, to na posterunek żandarmerii po drugiej stronie *Place Lamartine*. *Filles de maison* miały pozostawać w *quartier réservé*, zakątku miasta, w którym umieszczono burdele – jeśli żandarmi mnie złapią, odprowadzą prosto do madame Virginie. Dlaczego nie upięłam włosów, nie włożyłam kapelusza, nie zrobiłam czegoś, żeby mnie nie rozpoznano, jak każda rozsądna *fille*?

Żandarm!

Wyszedł z posterunku żandarmerii i szedł z wolna w naszą stronę. Damy zamachały parasolkami, żeby zwrócić jego uwagę, ale ja poderwałam się do ucieczki, zanim mnie dostrzegł, i dałam nura za żywopłot w innej części parku. Znałam tu każde drzewo, każdą akację, każdą sosnę. Ruszyłam krętą trasą przez trawnik na brzeg kanału, gdzie ukryłam się za

krzakiem i zaczęłam nasłuchiwać zbliżających się kroków. Nie usłyszałam niczego oprócz dzwonów Saint-Trophime, wybijających czwartą, i rozmów praczek, kończących nieopodal swoją pracę.

– Niepokoję się o... wiesz – dobiegł mnie przez chłopot młody głos. – Co właściwie mam zrobić?

– Leż i myśl o dzieciach, które urodzisz – odpowiedziała starsza praczka. – Jak się przyzwyczaisz, nie jest tak źle.

– Mój chłop stęka jak świnia, nigdy się do tego nie przyzwyczaję! – wtrąciła trzecia wśród chichotów i żartobliwych plusków.

Żołnierz, którego zabawiałam wczorajszej nocy, ten, który wrócił z Afryki Północnej i miał w oczach błysk pustynnego szaleństwa, też stękał, jak dzik ryjący w ziemi w poszukiwaniu grzybów. Mamrotał mi do ucha, jak to jest zabić człowieka, a kiedy skończył, rzucił kpiąco:

– Co z tobą, dziewczyno? Nie podobało ci się?

Zmusiłam się, żeby przytaknąć, żeby mnie nie uderzył, a kiedy odszedł, nie mogłam się rozplakać. Przykucnęłam w blaszanej balii, żeby zmyć z siebie jego pot, i wróciłam cicho do pokoju, do niespokojnej nocy na krześle przy oknie.

W ciszy parku łyzy popłynęły swobodnie. *Co z tobą, dziewczyno?* Słowa żołnierza brzmiały mi w głowie, tak jak głosy dam na ławeczce. Przyzwoici ludzie. Przyzwoici ludzie. Dopiero kiedy się wyplakałam i rąbkiem sukni otarłam oczy, zaczęłam nasłuchiwać ćwierkania cykad. Zostań jeszcze, brzęczały monotennie, zostań jeszcze. Trawa była miękka i wonna, cień cedrowych zarośli chłodny i kojący. Dopiero za parę godzin madame Virginie będzie się mnie spodziewać na kolacji, a Raoul zapali latarnię na znak, że zaczynamy urzędowanie. Śpij, szemrały cykady. Śpij.

Obudziło mnie pięć uderzeń dzwonów Saint-Trophime. Otworzyłam oczy i przekonałam się, że nie jestem już sama. Pod bukiem nieopodal siedział mężczyzna z ołówkiem i szkicownikiem. Twarz zasłaniał mu chłopski słomkowy kapelusz.

Mężczyzna szkicował mnie.

Podniósł głowę, kiedy się poderwałam na nogi, i także wstał, zrzucając swoje rzeczy na ziemię.

– Nie podchodź, bo!... – krzyknęłam.

– Proszę, pozwól mi wyjaśnić. Nie zrobię ci krzywdy. Nazywam się...

– Znam cię. Jesteś tym cudzoziemcem, tym malarzem i nie masz prawa... Za kogo ty mnie uważasz?

– Za kogoś, kto sypia w parku – odpowiedział, tłumiąc śmiech.

Prychnęłam i cofnąłam się ku ścieżce.

– Czekaj, przepraszam – dodał. – Jak ci na imię? – Przechylił głowę i przyjrzał mi się. – Chyba mieszkasz na *la rue des bonnes petites femmes*, na ulicy dobrych kobietek, jak ją nazywam.

Nie wydawał mi się wariatem, ale i tak założyłam ręce na piersi i nie zdradziłam mu mojego imienia.

– Głupi ten kapelusz – oznajmiłam w zamian.

Malarz zdjął kapelusz z żółtej słomki, ukazując zmierzwioną rudą czuprynę w tym samym kolorze co jego rozwichrzona broda. Nasze południowe słońce wzięło się za niego rzetelnie, zapaliło w jego włosach złoty blask, a na nosie wyczarowało piegi. Jego twarz miała charakter – trochę surowa, ze zmarszczkami na czole i opadającymi kącikami ust – lecz nie była niesympatyczna. Ale jego ubranie! Obryzgana farbą niebieska robociarska kurtka, wyświechtane białe portki z dziurami na kolanach, oblepione błotem buty...

Malarz znowu się uśmiechnął i jego melancholia nagle znikła.

– Powiesz mi, kim jesteś?

– Mam na imię Rachel – ustąpiłam. – I tak, mieszkam na ulicy dobrych kobietek, jak ją nazywasz.

– Ja jestem Vincent – odpowiedział, skłaniając głowę – i przepraszam, że cię przestraszyłem. Pracowałem nieopodal, potem cię zobaczyłem i zapragnąłem naszkicować.

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Byłaś tu, nie ruszałaś się, a ja muszę ćwiczyć.

Wyciągnęłam rękę.

– Mogę zobaczyć? Chyba mi się należy.

– Nie jest bardzo dobry, to tylko *krabbeltje*... – zaczął szukać właściwego francuskiego słowa – ...gryzmoł. – Nie dałam się zbyć, nie opuściłam ręki. Zarumienił się pod piegami, po czym podał mi szkicownik z nerwowym: „Uważaj, rozmazuje się”.

Rysunek nakreślony był pospiesznie czarnym ołówkiem, ale ta płatanina linii to byłam ja, spódnica i włosy w nieładzie, twarz znieruchomiła we śnie pod gałęziami cedru. Zerknęłam na niego; wycierał but o trawę z miną, której nie rozumiałam.

– Podobna – powiedziałam z grzeczności. – Dobry rysunek.

Uniósł brwi.

– Tak sądzisz?

Przekartkowałam szkicownik; niektóre strony zapełniało pismo, większość – rysunki: mężczyzna pracujący w polu, kobieta z niemowlęciem, bukiet kwiatów, butelka wina. Zauważyłam wyraz jego twarzy i szybko oddałam mu szkicownik.

– Przepraszam, to niegrzeczne...

– Nie szkodzi. – Przechylił głowę i znowu mi się przyjrzał. – Może kiedyś cię namaluję.

– Namalujesz? Po co?

Roześmiał się.

– Bo chcę i tyle. Trudno tu o modelki.

– Zobaczymy – odparłam i zaczęłam się cofać w stronę ścieżki. – Robi się późno, monsieur. Powinam...

Malarz pochylił się po swoje rozrzucone na ziemi rzeczy i spojrzał na mnie z nadzieją.

– Idziesz do swojego *maison*? Mogę cię odprowadzić, jeśli pozwolisz.

– To niedaleko, często chodzę sama. Ale dziękuję.

Odkasznął, przyciskając szkicownik do piersi.

– A powiesz mi, w którym domu mieszkasz? Skoro mnie znasz, pewnie słyszałaś, że bywam czasem na *la rue des bonnes petites femmes*, choć twojego przybytku jeszcze nie odwiedziłem. Mam nadzieję, że pozwolisz mi złożyć sobie wizytę.

Zabrzmiało to zabawnie i staroświecko, jakbyśmy umawiali się na herbatkę.

– Chętnie pana zobaczę, monsieur – odpowiedziałam po króciutkiej pauzie. – Rue du Bout d’Arles 1, u madame Virginie. Ostatni dom po prawej od strony Rue des Ricolets.

Sklonił się niezdarnie, z szerokim uśmiechem, przytrzymując swój złoty kapelusz.

– Czekam z niecierpliwością, mademoiselle. *Bonne journée*.

I ja skłoniłam głowę i ruszyłam przez trawnik w stronę Porte de la Cavalerie. Przed żywopłotem, dzielącym mnie od ogrodowej ścieżki, obejrzałam się przez ramię. Malarz nadal na mnie patrzył.

– Największe miasto rzymskiej Galii – mawiał papa o Arles – w czasach, gdy Paryż był osadą lepianek.

Papa – szanujący historię nauczyciel naszej wioski – chciał mnie zabrać do Arles, żeby mi pokazać starożytnie ruiny. Maman się nie zgodziła.

– Wstrętna kolejowa miejscina – prychnęła. – To nie miejsce dla dziewczynki.

– Na pewno w Arles mieszkają inne dziewczynki – zauważył papa z cichym śmiechem, ale maman znowu prychnęła i na tym się skończyło.

Gdy wiele lat później w końcu wysiadłam z pociągu na stacji w Arles, papa mi nie towarzyszył. Straciłam go parę miesięcy wcześniej. Maman odeszła, zanim skończyłam jedenaście lat. Przyjechałam do miasta, żeby zacząć nowe życie, najlepiej jak umiałam. Niespodziewany śnieg polukrował bu-

dynki białą, a ja, jak wszyscy turyści, gapiłam się na rzymski amfiteatr i średniowieczne dzwonnice, żałując, że papa nie ogląda ich razem ze mną. Gapiłam się też na samych turystów, promenujących po Boulevard des Lices w płaszczach i futrach. Oglądałam na Place du Forum wystawy sklepów z rzeczami, na które nie było mnie stać, i zastanawiałam się, kiedy się urządzę.

Ale kiedy dni i tygodnie mijały, a garstka franków w mojej walizce topniała niczym śnieg, przekonałam się, że zarówno mamam, jak i papa mieli rację co do Arles. To miasto miało dwie twarze: jedną dla przybyszów i bogaczy, drugą codzienną, z obskurnymi knajpami i zapłutymi uliczkami, których nikt nie sprzątał. Dziewczyna bez rodziny i pieniędzy nie mogła tu zajść daleko – jak się okazało, nie dalej niż do *quartier réservé*.

Od tego czasu minęło pół roku.

– Rachel, czy ty mnie słuchasz?

Piątkowy wieczór w domu madame Virginie. Wraz z innymi dziewczynami byłam w barze, ustawiając na półkach kieliszki i odkurzając butelki. Pojawiali się pierwsi goście. Françoise, niegdyś najpopularniejsza *filie* na Rue du Bout d'Arles, zachowała jeszcze resztkę dawnej urody, dzięki której nadal miała wiernych klientów, a także wściekłą skuteczność, którą trzymała w ryzach inne dziewczęta. Zmarszczyła brwi.

– Wiedziałaś, że nie słuchasz. Czytałaś dziś wstępniak w „Le Forum Républicain”?

Pokręciłam głową.

– Co napisali?

– To co zawsze. Wrzaski, że w kafejkach przy stacji nocami roi się od ladacznic, i utyskiwania, że żandarmi zaniedbują swoją robotę. Miasto toczy moralna zgnilizna, którą należy wypalić! – Zrobiła śmieszny minę i parsknęła śmiechem, ale szklankę wytarła tak gwałtownie, jakby chciała ją zmiażdżyć. Minął prawie tydzień, a ja nadal słyszałam tamte kobiety z parku: co ona tu robi?

– Ta sprawa z żandarmami nie ma nic wspólnego z nami – dodała Françoise. – Mamy pozwolenie. Madame płaci za nie sporo pieniędzy i dopóki przestrzegamy zasad...

Z westchnieniem odstawiłam kieliszek.

– Nie chcę już tego robić. Mam dość.

– Ciągłe się boisz tego żołnierza? Raoul dostał polecenie, żeby go więcej nie wpuszczać. Już go nie zobaczysz.

– Nie chodzi mi o niego, tylko o nich wszystkich.

Françoise wzięła się pod boki i wygłosiła tę samą mowę, którą usłyszałam mojego pierwszego wieczoru w *maison*, kiedy uciekłam na widok mojego pierwszego klienta. Czy chcę być szwaczką i zmarnować sobie oczy nad szyciem? Praczką o spierzchniętych rękach i zgarbionym grzbiecie? Dużo zarabiamy, przypomniała mi surowo, a praca jest łatwiejsza niż pranie w Roubine du Roi. Powinnam się cieszyć, że mam dach nad głową i jedzenia do syta. Czy wiem, że dziewczyny na ulicy głodują?

– Tak, ale...

– Ale co? – spytała już łagodniej. – Miałś ostatnio pecha, to wszystko. Musisz zyskać stałych klientów, miłych panów, którzy ci zajmą czas. Ale nie znajdziesz ich, jeśli będziesz się tak dąsać.

– Nie dąsam się, tylko...

Jej uwagę odwrócił wchodzący klient.

– *Tiens* – powiedziała – mamy kogoś. A, to ten cudzoziemiec. Możesz mieć kogoś lepszego.

Zapomniałam już, że malarz nieśmiało poprosił o pozwolenie odwiedzin i o mojej pospiesznej zgodzie. Nawet nie pamiętałam, jak mu na imię. Dziś zmienił zakurzone ubranie na wymięty czarny garnitur i czarny filcowy kapelusz, który najlepsze lata miał już za sobą. Rozwichrzony włosy zaczesał do tyłu, brodę przystrzygł, a oprócz kapelusza trzymał nieporadnie ułożony bukiet polnych kwiatów, więdnących w upale. Nie wyglądał jak mężczyzna, który chce zapomnieć w łóżku z dziewczyną o tygodniu harówki. Wyglądał jak zalotnik.

Françoise nie zauważyła mojego uśmiechu, gdy malarz rozejrzał się po pokoju, a inna *filie* podeszła, by się z nim przywitać.

– Ach, ta Jacqui – westchnęła. – Jest tu dłużej od ciebie i cholernie dobrze wie, że to madame Virginie przedstawia nas gościom. Same z nią utrapienia! Mówiłam madame, że nie należy jej zatrudniać, ale zawzięła się, żeby mieć w domu blondynkę, bo stary Louis z naszej ulicy ma dwie.

Śpiewne: „*Booonsoir, monsieur*” wdzięczącej się Jacqui rozległo się echem w pokoju. Była wysoka, błękitnooka, dziewczyna z północy, inna od niskich prowansalek o czarnych włosach i oczach i oliwkowej cerze. Zawsze się wywyższała, chwaliła się, że mieszkała w Paryżu i pracowała w *maison de luxe* koło Opery. Françoise i ja nie słyszałyśmy jej rozmowy z malarzem, ale patrzyłyśmy, jak bierze go pod rękę. Pojawiła się madame Virginie, żeby dobić targu. Malarz uprzejmie pokręcił głową, już nie tak uprzejmie uwolnił ramię i powiedział coś, co wywołało brzydki grymas na twarzy Jacqui. Uniósł rękę na wysokość ramienia, jakby mówił „dziewczyna tego wzrostu”, po czym poruszył obiema dłońmi, sypiąc płatkami kwiatów z bukietu, jakby opisywał długie włosy dziewczyny i jej sylwetkę klepsydry. Madame Virginie patrzyła na niego, nie rozumiejąc, więc wyjął szkicownik i pokazał jej stronę.

– Chodzi mu o ciebie? – spytała Françoise, kiedy madame skinęła na mnie, a Jacqui odpłynęła. – Znasz go?

Niespiesznie rozwiązałam fartuszek i wygładziłam nową żółtą suknię.

– Poznałam go w zeszłym tygodniu w parku przy Place Lamartine.

– Aleś ty przebiegła! Nie zdradzić się z czymś takim... – Françoise rzuciła malarzowi nieufne spojrzenie. – Tylko niech najpierw zapłaci i nie rób tego, jeśli zacnie się dziwnie zachowywać.

– Nie zacnie. Jest miły. Narysował mój portret.